

muje mnie. Życie nie jest pozbawione znaczenia. Bóg stworzył życie jako wyraz miłości. Wiedziałem o tym, nawet jeśli tego nie czułem. Bazując na tej wiedzy, mogłem na nowo wybrać radość (...). Nastrój przynębnienia nadal tkwi we mnie. Nie mogę tak po prostu wyrzucić go z serca, ale przynajmniej mogę go zdemaskować jako nieprawdziwy i w ten sposób zapobiec, aby stał się podstawą mojego działania (...). To takie pocieszające - wiedzieć, że mogę wybrać radość."

Święty Augustyn mówi nawet o tym, że chrześcijanin nie tyle może wybrać radość - co jest ona dla niego obowiązkiem.

Francuski pisarz - Bernanos słusznie zarzuca nam chrześcijanom: „Gdzie schowaliście waszą radość? Kiedy was widzę, jak żyjecie, nie powiedziałbym, że wam i tylko wam została obiecana radość Pana."

Spróbujmy żyć tak, aby ludzie, którzy w Chrystusa nie wierzą - zaczęli mieć przynajmniej jakieś wątpliwości, widząc naszą radość. Zacznijmy od zwykłego uśmiechu na ustach.

Ile wart jest uśmiech na twarzy, mogłem się przekonać jadąc kiedyś pociągiem. Otóż miałem to „szczęście”, że jadąc ekspressem, miałem wykupione miejsce dokładnie naprzeciwko pana, którego wygląd twarzy przypominał filmowych psychopatycznych morderców. Mam nadzieję, że on

nikim takim nie był i nie będzie. Niemniej tak go odebrałem. Głównie dlatego, że w ogóle się nie odzywał, nie uśmiechał, i miał na twarzy jakby wypisane-„zaczep mnie, a wysadzę te wagony w powietrze!” W końcu, po kilku godzinach wspólnej jazdy, stało się coś nieoczekiwanego. Otóż z przedziału obok wybiegło na korytarz małe dziecko, które trzymając w rękę maskotkę, głośno się śmiało. Śmiech dziecka automatycznie wprawiał mnie w radosny nastrój. Jednakże starałem się powstrzymać swój uśmiech, gdyż obawiałem się, że może



to sprowokować mojego sąsiada do „wysadzenia pociągu.” Zerknąłem więc na niego, aby się upewnić, czy nie wymyślił czegoś zatrważającego i ... z niedowierzaniem stwierdziłem, iż na jego twarzy nie zostało

najmniejszego śladu mogącego wywołać grozę. Szczery uśmiech dziecka sprawił, że mój „straszny” sąsiad z przedziału, miał teraz twarz bobasa. Jeden zwykły uśmiech sprawił, że „psychopatyczny morderca” wydał mi się sympatycznym panem.

Jeden zwykły uśmiech. Ile jest wart?

„Nic nie kosztuje, ale wiele daje. Wzbogaca tych, którzy go otrzymują, nie zubożając tych, którzy go dają. Trwa tylko chwilę, a pamięta się go czasem przez całe życie. Nikt nie jest na tyle bogaty, by mógł bez niego żyć i nikt nie jest tak biedny, by nie móc sobie nań pozwolić. Przynosi szczęście do domu, decyduje o powodze-

niu w interesach i jest hasłem dla przyjaciół. Jest odpoczynkiem zmęczonych, światłem zniechęconych, słońcem smutnych i najlepszym, danym przez Naturę środkiem na kłopoty. Jednak nie można go kupić, wyzebrać, pożyczyć ani ukraść, ponieważ dla nikogo nie stanowi żadnej wartości, dopóki się go nie podaruje."

Chciałbym zakończyć swój artykuł modlitwą, którą często odmawiał patron humoru - św. Tomasz More. Żywię ogrom-

ną nadzieję czytelniku, iż będziesz do niej powracał jak najczęściej:

„Zechciej mi dać duszę, której obca jest nuda, która nie zna szemrania, wzdychań i uzaleń, i nie pozwól, ażebym kłopotał się zbyt wiele wokół tego panoszącego się czegoś, które nazywa się - ja. Panie, obdarz mnie zmysłem humoru. Daj mi łaskę rozumienia się na żartach, ażebym zaznał w życiu trochę szczęścia, a i innych mógł nim obdarzać. Amen."

kl. Tomasz Tyszkiewicz CRL

*Dlaczego jest święto Bożego Narodzenia?
Dlaczego wpatrujemy się w gwiazdę na niebie?
Dlaczego śpiewamy kolędy?*

*Dlatego, żeby się uczyć miłości do Pana Jezusa.
Dlatego, żeby podawać sobie ręce.
Dlatego, żeby się uśmiechać do siebie.
Dlatego, żeby sobie przebaczać.*

*Żeby każda czarodziejka po trzydziestu latach
nie stawała się czarownicą*

ks. Jan Twardowski

Mądrość Ojców Pustyni

Mądrość Ojców Pustyni

Pod koniec III wieku w Kościele zaczęły się pojawiać formy życia monastycznego. Wielu ludzi decydowało się wtedy opuścić miejsce dotychczasowego zamieszkania, zostawiało swoje rodziny, bliskich i przyjaciół i oddawało się życiu ascetycznemu, mieszkając wśród trudnych warunków pustyni. Przyczyną tego nie była bynajmniej ucieczka przed prześladowaniami, ale była to tęsknota za doskonałym zjednoczeniem



się z Bogiem już tutaj na ziemi. Na pustyni, gdzie człowiek przebywał sam w otoczeniu przyrody, mógł wszystkie swoje myśli zwrócić ku Bogu. Ludzie, którzy decydowali się na taką formę życia, zamieszkiwali niedaleko pustelników, którzy wiele lat spędzili w odosobnieniu i wyćwiczyli się już w modlitwie, pokucie i ascezie. Od nich to czerpali mądrość i wskazówki do rozwoju duchowego, oni też byli dla nich wzorami w dążeniu do doskonałości.

Do naszych czasów zachowały się

wskazówki w formie sentencji, czy też krótkich historii z życia codziennego pustelników. Czytając książkę „Mądrość Ojców Pustyni” zawierającą myśli pustelników, natknąłem się na wiele cennych wskazówek i rad, które wpływają z mądrości życiowej, znajomości psychiki człowieka i są głęboko osadzone w nauce Pisma Świętego. W tym miejscu chciałbym się zatrzymać nad jedną taką sentencją, która może być cenną wskazówką dla nas wszystkich, a brzmi ona:

„Nie mów nic złego na twojego brata,

nie osądzaj bliźniego,

nie wypowiadaj zbędnych słów”.

Trzy krótkie stwierdzenia, a ile kryje się w nich mądrości.

Pierwsza część tej sentencji – nie mów źle i nie osądzaj – można powiedzieć, że wypływa z przykazania miłości bliźniego. Nie mów nic złego na twojego brata, aby mu nie zaszkodzić, by mieć czyste sumienie i umieć spoj-

rzeć mu w oczy. Jeżeli uważamy, że ktoś czyni źle nie rozpowiadajmy o tym wszystkim wokoło, ale upomnijmy go. Upomnienie nie ma wynikać z chęci upokorzenia go i pokazania „ja jestem sprawiedliwy, święty i wszystko robię dobrze, a ty jesteś zły i nic nie potrafisz”, jeżeli zwracamy komuś uwagę, musi to wynikać z chęci życzenia dobra, a nie zaś z innych pobudek.

Nie osądzaj bliźniego. Pan Jezus mówi: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni” (Mt 7,1) oraz przedstawia sytuację z celnikiem i faryzeuszem, któremu wydawało się, że jest jedynym sprawiedliwym (Łk 18, 9-14). My często „troszczymy się o bliźnich” i chcemy wyciągać z ich oka drzazgę, gdy sami w oku mamy belkę (por. Łk. 6,42). Robimy to, aby odwrócić uwagę od siebie i by uspokoić, bądź zagłuszyć własne sumienie szukając braków u innych. Gdy staniam przed Bogiem, nikt nie będzie osądzał kogoś innego, ale zda sprawę o sobie. Na sądzie, na wyrzuty Boga, nie usprawiedlimy się: „no tak, ale Kowalski był jeszcze gorszy, bo robił to i tamto”. Unikajmy więc oceniania innych, a zawsze analizujemy własne czyny i pytajmy się czy postępujemy zgodnie z przykazaniami, będziemy wtedy spokojniejsi, mniej rozkojarzeni i będziemy się bardziej udoskonalać. Nie możemy osądzać, bo nigdy nie znamy wszystkich motywów postępowania innej osoby.

Ostatnie stwierdzenie – nie wypowiadaj zbędnych słów – jest bardzo bliskie znanemu przysłowiu – mowa

jest srebrem, a milczenie złotem. Gadulstwo stało się plagą, wszyscy mają coś do powiedzenia, często mówimy, żeby tylko mówić, nawet nie zastanawiając się nad sensem i celem naszej wypowiedzi. Dlatego też słowo znacznie straciło na swojej wartości. Ale dlaczego mamy nie wypowiadać zbędnych słów? Myślę że dlatego, aby móc się wyciszyć, wejść bardziej w swoje wnętrze, do naszego sumienia, które jest sanktuarium – miejscem spotkania człowieka z Bogiem. Bóg przemawia do nas w ciszy, więc szanse, że usłyszymy Jego głos cały dzień wpatrując się w ekran telewizora lub słuchając heavy metalu są bardzo małe. Mamy nie wypowiadać zbędnych słów, aby również ustrzec się grzechów języka. Często nawet nie zauważamy, ile wyrażamy zła gadulstwem – obmowa, oczernianie, manipulowanie czy szantażowanie, to tylko niektóre grzechy języka, a można by ich było wymienić znacznie więcej.

Kończąc już, zachęcam do tego, aby zapamiętać tę jakże prostą, a równocześnie bogatą w znaczenie myśl ojców pustyni i codziennie starać się ją stosować.

kl. Dawid Kóver

CRL

Z ŻYCIA SEMINARIUM



26 października 2004 w związku z przypadającym w tym roku Tygodniem Misyjnym, w naszej wspólnocie seminarnej gościliśmy o. Lino d'Almeida MCCJ, kapłan ze Zgromadzenia Misjonarzy Kombonianów. Ojciec Lino w naszym kościele Bożego Ciała odprawił o godz. 19⁰⁰ Mszę świętą o nowe powołania misyjne oraz w intencji misji. Liturgię Ofiary Eucharystycznej uświetnił zespół muzyczny

kleryków komboniańskich z Krakowa, którzy podobnie jak my, przygotowują się od tego roku w Instytucie Księży Misjonarzy na Stradomiu. Po Mszy odbyło się spotkanie misyjne, w czasie którego. Lino przybliżył nam kraj, z którego pochodzi czyli Portugalii, a także zachęcił do dalszej animacji misyjnej nie tylko w seminarium lecz wszędzie tam gdzie się znajdujemy.

W dniach **18-20 listopada 2004** Koło Naukowe WSD w Płocku zorganizowało sympozjum zatytułowane "Sekty – zamaskowane zniewolenie". W trzydniowych wykładach i zajęciach wzięli udział także klerycy naszego seminarium: kl. Tomasz Tyszkiewicz i kl. Łukasz Matuszczak. Sympozjum rozpoczęła Msza św. celebrowana przez ks. kard. prof. dr hab. Stanisława Nagy SCJ. W czasie sympozjum swoje wykłady m.in. wygłosili: ks. prof. dr hab. Andrzej Zwoliński na temat anatomii sekt, Ryszard Nowak o największych zagrożeniach ze strony sekt dzisiaj oraz Andrzej Wronka przybliżył w jaki sposób należy rozmawiać ze Świadcami Jehowy.

4 grudnia 2004 odbyło się doroczne spotkanie kapłanów, kleryków, siostr zakonnych i kleryków z Polski oraz krajów sąsiednich – członków Papieskiej Unii Misyjnej na Jasnej Górze pod hasłem: "Życie konsekrowane drogą Ewangelii nadziei". W tym roku na nocne czuwanie przed obrazem Matki Bożej Jasnogórskiej pojechali: kl. Krzysztof Tkaczyk, kl. Paweł Pawlak oraz kl. Sebastian Czopek. W programie czuwania była m.in. konferencja ascetyczna pt. „Eucharystia i misja – wyzwania papieskiego orędzia misyjnego”, którą przeprowadził ks. mgr Eugeniusz Szyszka – sekretarz krajowy PDRW i PDPA oraz konferencja wygłoszona przez o.

Dawida Sullivana MAfr. Czuwanie PUMzbiegło się z pielgrzymką kilku parafii dekanatu włoszcowskiego i samej Włoszczowy w związku z rocznicą głośnych wydarzeń obrony krzyży we Włoszczowej. O północy JE ks. bp Ireneusz Pękalski, biskup pomocniczy archidiecezji łódzkiej odprawił uroczystą Mszę św. oraz wygłosił homilię, w której podkreślił potrzebę powołań misyjnych oraz nawiązał do wydarzeń obrony krzyży we Włoszczowej. Czuwanie zakończyło się o godz. 4⁰⁰ rano.

Dnia **8 grudnia**, z okazji Uroczystości Niepokalanego Poczęcia NMP, odbyło się w kościele p.w. Bożego Ciała w Krakowie nabożeństwo przed obrazem Matki Bożej Gietrzwałdzkiej, ku lepszemu przeżyciu przyczynili się klerycy ze Zgromadzenia Misjonarzy Kombonianów, którzy grą i śpiewem ubogacili to nabożeństwo. Słowo do młodzieży skierował Opat Generalny Kanoników Regularnych Laterańskich Bruno Giuliani CRL.



W dniach od **7-11 grudnia** gościliśmy w naszym Krakowskim klasztorze ks. opata generalnego Bruno Giuliani CRL z Rzymu, wraz ze swoim sekretarzem ks. Władysławem Martuszczyńskim CRL. Wspólne spotkanie i modlitwa wpływały bardzo pozytywnie na naszą wspólnotę.



Dnia **12 grudnia 2004** nasz współbrat kl. Marcin Kordel CRL przyjął święcenia diakonatu w kościele Kanoników Regularnych Laterańskich prowincji angielskiej w Londynie. Święceń tych udzielił mu JE Ks. Biskup John Hine, biskup w Southwark.



Mysli świętego Augustyna

Kim jest Bóg?

Bóg jest nieskończonym kołem, którego środek jest wszędzie, a którego obwodu nie ma nigdzie.

Możemy wiedzieć, kim Bóg nie jest, lecz jako śmiertelni nigdy nie dowiemy się, kim jest Bóg.

Oko wiary

Nikt nigdy nie widział Boga. On jest rzeczywisty, lecz niewidzialny. A to oznacza, że nie możemy zobaczyć Boga oczami naszego ciała, lecz tylko „oczami” wiary.

„Błogosławieni czystego serca, bo oni Boga oglądać będą”- mówi Ewangelista. Zatem, jeżeli pragniemy ujrzeć Boga, oczyścmy to jedyne oko, które może Go oglądać- oko wiary.

Niepokój serca

Ty uczyniłeś nas dla siebie i niespokojne są nasze serca, dopóki nie znajdą spoczynku w Tobie.

Przeszłość, terażniejszość, przyszłość

Zawierz swą przeszłość miłosierdziu Boga, terażniejszość- Jego miłości, a przyszłość- Jego opatrności.

Na ziemi i w niebie

Jezus powiedział: „Nikt nie wstępuje do nieba oprócz tego, kto z nieba zstąpił- Syna Człowieczego, który jest w niebie”. I to jest wielka prawda: Jezus przebywał na ziemi, gdyż stał się człowiekiem tak, jak my. Był w niebie, ponieważ jest Bogiem. Narodził się z ziemskiej matki, lecz nie oderwał się przez to od swego niebieskiego Ojca.

Bóg chciał, aby Jego Syn stał się „Synem Człowieczym”, a my – abyśmy stali się synami Bożymi. Jedno wynika z drugiego. Jezus zstąpił na ziemię ze względu na nas; z kolei my wstąpimy do nieba ze względu na Niego.

Wybór Chrystusa

Jezus mógł zejść z krzyża, ale wolał powstać z grobu.

Anegdoty z koloratką

Do księdza kawalarza zwraca się pewien parafianin: Proszę księdza zmarła mi teściowa. Skremować ją czy pogrzebać? Wtedy ów ksiądz radzi: Dla pewności i to, i to.



Jeden z księży na Śląsku Opolskim, który uczył się języka niemieckiego, miał trudności z nazwaniem poszczególnych stacji Drogi Krzyżowej. począwszy od pierwszej stacji do końca mówił: Bahnhof eins, bahnhof zwei, itd.

Proszę księdza, czy dostanę się do nieba, jeśli ofiaruję na kościół 300 zł.? Ręczyć nie mogę, ale spróbować warto- odpowiada kapłan.



Redakcja „Cor Unum” składa serdeczne podziękowania wszystkim, którzy modlitwą wspierają naszą pracę.
Słowa wdzięczności kierujemy pod adresem naszych współpracowników, którzy przyczyniają się do rozprowadzania naszej gazetki na terenie swoich parafii.
Wszystkim dziękujemy za życzliwość i wsparcie finansowe.

Tym, którzy chcieliby ofiarą pieniężną wesprzeć naszą gazetkę, oraz Seminarium, podajemy nr konta, na który można dokonać wpłaty:

Wyższe Seminarium Duchowne

Zakon Księży Kanoników Regularnych Laterańskich
Ul. Bożego Ciała 26, 31-059 Kraków
Konto: PKO BP SA I O/ KRAKÓW
06102028920000580200172130

Wszystkim, którzy swoją ofiarnością przyczyniają się do rozwoju naszej gazetki składamy serdeczne podziękowania.

ISSN 1732-3983

COR UNUM

PISMO KLERYKÓW ZAKONU KANONIKÓW REGULARNYCH LATERAŃSKICH

NR 4(12)2004

PAŹDZIERNIK-GRUDZIEŃ



Wspólnota Kanoników Regularnych Laterańskich
z Kanonii Krakowskiej
wraz z księdzem opatem Bruno Giuliani CRL



W numerze:

Kilka słów o miłości - kl. Piotr Bendik CRL.....	2
Kanonicy regularni św. Norberta w Hebdowie - kl. Krzysztof Tkaczyk CRL.....	4
Teraz jest okazja - kl. Łukasz Grzechca CRL.....	7
Głosić Ewangelię ubogim posłał mnie Pan - kl. Marcin Rolke CM.....	11
Odnaleźć sens Bożego Narodzenia - now. Szymon Szajko.....	15
Zapalam znicz na moim biurku - kl. Łukasz Bugała CRL	17
Dobro przyjęliśmy z ręki Boga... - kl. Przemysław Soboń CRL.....	19
Byłem w więzieniu a nie odwiedziliście mnie - dk. Marcin Kordel CRL.....	22
Uwierzę wtedy, gdy chrześcijanie... - kl. Tomasz Tyszkiewicz CRL.....	26
Mądrość Ojców Pustyni - kl. Dawid Kover CRL.....	30
Z życia seminarium - kl. Krzysztof Tkaczyk CRL.....	32

Zespół redakcyjny:

kl. Łukasz Bugała CRL- red. naczelny
 kl. Krzysztof Tkaczyk CRL
 kl. Łukasz Matuszczak CRL
 kl. Łukasz Grzechca CRL
 kl. Dawid Kover CRL

Korekta:

Ks. Marian Szczecina CRL
 Barbara Wyrzycka

Nasz adres:

WSD Kanoników Regularnych Laterańskich
 „Cor Unum”
 ul. Bożego Ciała 26
 31-059 Kraków

**Na okładce: witraż z kościoła Kanoników Regularnych Laterańskich
 - Christ Church w Londynie.**

Za pozwoleniem przełożonych

ISSN 1732-3983

Drodzy Czytelnicy!

Kolejny numer naszego czasopisma, który trzymacie w dłoni jest szczególny, bo i święta, z którymi zbiega się data jego wydania są wyjątkowe. Boże Narodzenie, które rokrocznie przeżywamy jest czasem prawdziwie rodzinnym. To chyba jedyne święta w roku, gdy w tak bardzo wyraźny sposób odczuwamy ciepło domowego ogniska. Dzięki naszej gazecie stanowimy niejako rodzinę, która pragnie razem zasiąść do Wigilijnego Stołu i wspólnie świętować narodzenie Naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Z tej okazji pragniemy złożyć Wam drodzy Czytelnicy płynące prosto z naszych serc życzenia. Niech tajemnica Bożego Wcielenia rozbłyśnie w Waszym życiu światłem prawdziwej radości, miłości i pokoju. Niech Radosna Nowina rozchodząca się po całym świecie z Betlejemskiej stajenki będzie dla Was otuchą i nadzieją na każdy dzień Nowego Roku.

Redakcja.

Kilka słów o miłości

Każdy zgodzi się, że nie sposób żyć bez miłości. Ciężko jest nam sobie wyobrazić świat, w którym jej brak. Nie trzeba wcale studiować psychologii, aby odkryć tę prawdę. Dostrzegamy to każdego dnia, a w sposób szczególnie w tym czasie Świąt Bożego Narodzenia, Nowego Roku.

Miłość wpisana jest w serce każdego z nas. Każdy chce być kochany, akceptowany, chce czuć się komuś potrzebnymi. To miłość nadaje sens życiu i pozwala z optymizmem spoglądać na świat. Każdy chce być kochany i każdy chce tą miłością się dzielić. Chce obdarowywać nią bliźnich.

Czym jest miłość? Gdzie jej szukać? U kogo się jej uczyć?

Trudno dziś ją spotkać w świecie, choć nie boi się światła dnia.

Ludzie jej ciągle szukają.

Pytają, co im da?

Miłość ma tak wiele twarzy i okazywać ją można na tak wiele sposobów, że trudno ją minąć obojętnie, nie poznawszy. Czasami jednak nasza ludzka miłość bywa mała, interesowna, nieśmiała, skażona egoizmem. Dlatego najlepszym i najdoskonalszym nauczycielem miłości powinien stać się Bóg a nie człowiek. Bóg jest miłością. Peł-

nia Bożej miłości uobecnia się w osobie Jezusa Chrystusa i Jego dziele zbawczym. W Jego osobie odsłania siebie najlepiej.

Jeżeli więc pragniemy poznać odpowiedź, czym jest prawdziwa miłość nie skażona ludzką słabością i egoizmem, musimy w naszym życiu spotkać Jezusa. Poznać go, przypatrzeć się Jego czynom i wsłuchać się w Jego słowa. Spojrzeć na Jezusa, który z miłości ofiarowuje siebie. Oddaje życie za przyjaciół, nie pytając co w zamian.



Staje się wymownym znakiem Bożej miłości, którym jest dar. Dar całkowity i bezinteresowny.

Patrząc na postępowanie Jezusa wobec ludzi, których spotyka możemy uczyć się prawdy o miłości. Jezus z szacunkiem odnosił się do każdego napotkanego człowieka. Kimkolwiek by nie był, każdy był przez Niego traktowany z delikatnością, szacunkiem i troską. Szczególną miłością darzy właśnie biednych, upośledzonych, złamanych na duchu, powszechnie wzgardzonych i opuszczonych przez ludzi. Kochał i kocha szczególnie tych, których być może my nie uważamy za godnych naszej miłości, naszego poświęcenia i zainteresowania.

Na Ostatniej Wieczerzy zwracając się do swoich uczniów powiedział:

„Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiowałem” (J 15,12)

Te słowa, to przykazanie miłości, które Jezus kieruje do nas, jako swoich uczniów i przyjaciół. Bliżnim, którego Chrystus nakazuje kochać, jest każdy człowiek, nie tylko członek rodziny, przyjaciel, ktoś życzliwy, sympatyczny, użyteczny ... Jezus nakazuje, abyśmy kochali jak braci wszystkich ludzi bez wyjątku. A więc nie tylko tych, którzy mogą nam w czymś pomóc lub z którymi dobrze się czujemy.

Miłość, o której mówi, nie wyraża się bynajmniej w słowach (nawet najpiękniejszych), deklaracjach, uczuciu, ale ma przekładać się na codzienność, konkretne czyny. Bóg nie wymaga od nas rzeczy niezwykłych, wielkie-

go heroizmu, ale zwykłych „małych spraw”. Spodziewa się odrobiny dobroci dla drugiego człowieka, otwartości na dialog i tysiąca innych wyrazów życzliwości dla bliźniego.

Miłość to zrozumienie kogoś w jego słabości i dar przebaczenia, cierpliwe słuchanie i dobra rada. To podanie ręki odrażonemu. To zamilknięcie w nerwowej sytuacji. To uprzejmy uśmiech w sklepie czy tramwaju. Św. Paweł zaleca nam wszystkim: „obleczcie się w serdeczne miłosierdzie, dobroć pokorę, cichość, cierpliwość, znosząc jedni drugich i wybacząc sobie nawzajem. (...) Na to zaś wszystko przyobleczcie się w miłość, która jest więzią doskonałości (Kol 3,12-14).

Św. Jan natomiast pisze: „Umiłowani, miłujmy się wzajemnie, ponieważ miłość jest z Boga, a każdy kto miłuje, narodził się z Boga i zna Boga. Kto zaś nie miłuje, nie zna boga, bo Bóg jest miłością” (1J 4, 7-8).

To jest nasze powołanie, powołanie wszystkich Chrześcijan, abyśmy stawali się dla ludzi widzialnym znakiem bożej miłości. „Aby ludzie widzieli nasze dobre czyny w nas i chwaliли Ojca, który jest w Niebie”. Aby każdy kto na nas spojrzy mógł powiedzieć: „patrzcie jak oni się miłują”.

kl. Piotr Bendik CRL



Kanonicy Regularni świętego Norberta w Hebdowie

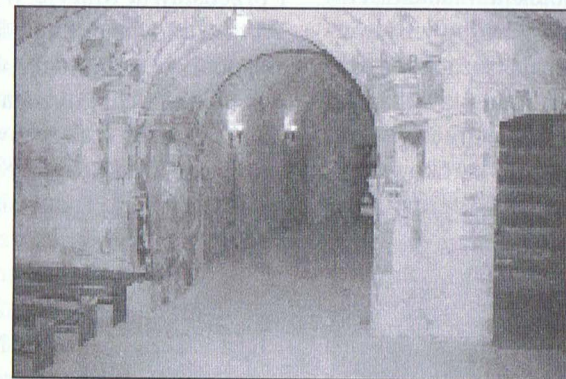
mnienia „Cor Unum”, nr 1(6)2003, s. 23), najpierw kanonik i kapelan Henryka V. Później pełnił funkcję arcybiskupa Magdeburga. Następnie również kanclerz cesarstwa rzymskiego oraz pod koniec życia ubogi kaznodzieja. W 1120 roku osiadł w Premontre, niedaleko Laon (we francuskiej Burgundii), gdzie założył wspólnotę zakonną opartą na surowszej wersji reguły św. Augustyna tzw. *Ordo Monachorum* i oddającej się szczególnie pracy duszpasterskiej i kaznodziejskiej. Powstały zakon zatwierdził w 1126 roku papież Honoriusz II. Do Polski norbertanie przybyli w roku 1146 obejmując kilka bogatych fundacji m.in. Hebdów, Witów, Wrocław, Białybuk na Pomorzu. Najstarsze opactwa znajdowały się w Brzesku i Zwierzyńcu pod Krakowem. Pod koniec XIII wieku zakon posiadał już 15 domów we wszystkich dzielnicach Polski. Zakon był kasowany dwukrotnie w XVI i XX wieku. Od XII w. istnieje żeńska gałąź zakonu (norbertanki) posiadająca w Polsce kilka klasztorów (Busko-Zdrój, Czarnowąsy, Strzelno). Po kasatach przetrwały jedynie 2 domy w Imbramowicach i Krakowie na Zwierzyńcu.

Hebdów – niewielka licząca około 700 mieszkańców podkrakowska wieś w powiecie nowobrzeckim, położona na północny wschód od Krakowa, na lewym brzegu Wisły. Miejscowość ta słynie ze starego opactwa Zakonu Kanoników Regularnych św. Norberta, czyli norbertanów (inna nazwa: premonstratensi). Kościół i okazały klasztor w średniowieczu nazywany brzeskim, położone na skarpie, w malowniczym zakolu Wisły, już z daleka witają przybyszów i zadziwiają swoją wielkością stanowiąc wspaniałą ozdobę całej najbliższej okolicy.

Założycielem norbertanów (białych zakonników) był św. Norbert von Genep z Xanten (ok. 1082-1134) w Nadrenii (zob. *Kanonickie wspo-*

Dzieje opactwa norbertanów w Hebdowie

Chwałę Hebdowowi przynosi powstały w 1149 roku klasztor norbertanów. Na temat początków zakonu norbertanów za ziemiach polskich brakuje źródeł historycznych. Bogate niegdyś archiwum klasztoru w Brzesku uległo zniszczeniu i grabieży w czasie zaborów. Z zachowanych najstarszych dokumentów przetrwał przywilej księcia Bolesława Wstydlwego z 1276 r., zatwierdzony później przez Władysława Łokietka (1331 r.) oraz Kazimierza Wielkiego (1358 r.). Zachowała się także bulla papieża Eugeniusza IV z 26 czerwca 1441 roku z informacją o



fundatorach klasztoru. Źródła średniowieczne mówią o klasztorze w Brzesku (tylko Jan Długosz wymienia nazwę „Hebdów”). Być może pierwotnie norbertanie przebywali na terenie dzisiejszego Nowego Brzeska i dopiero po lokacji miasta w 1279 r. przenieśli się w miejsce, w którym obecnie stoi klasztor. Do przyjęcia jest również i taka hipoteza, że klasztor nie zmienił położenia, ale w związku ze wspomnianą lokacją zmieniła się nazwa miejscowości. W każdym razie, co najmniej do po-

łowy XV w. nazw używano zamienne, a od XVI w. w źródłach przeważa określenie „klasztor hebdowski”.

Pod koniec XVI w. zakon norbertanów prawie w całej Europie został poddany silnym wpływom reformatorskim. W Polsce autorytet władz zakonu wyraźnie podupadł. Trwały zatargi między największymi opactwami: Hebdowem i Witowem, zwłaszcza o zarządy nad prepozyturą w Krzyżanowicach. Na sytuację Hebdowa niekorzystnie wpłynął fakt, że był on opactwem koadiutorialnym, w którym mianowany przez króla opat pochodził z duchowieństwa diecezjalnego. Takie opactwa oddawano duchownym mającym słabe

uposażenie, a ci przeważnie troszczyli się bardziej o dochody niż o dyscyplinę zakonną, co miało fatalne skutki dla wspólnoty.

W czasie zaborów Hebdów znajdował się na ziemiach włączonych do Rosji. W roku 1819 opactwo zostało skasowane, a jego dobra przeszły pod zarząd Komisji Rządowej Przychodu i Skarbu. Z Hebdowa wywieziono znakomitą bibliotekę. Część zbiorów trafiła do Warszawy, a część zaginęła. Rozproszonemu uległo bogate archiwum zakonne. Od 1832 roku stary kościół

klasztorny objęli księży diecezjalni organizując przy nim duszpasterstwo diecezjalne. Istniejąca dziś parafia hebdowska liczy ok. 1000 wiernych. Znajduje się na terenie diecezji kieleckiej w dekanacie proszowickim. Od 1949 roku w parafii pracują księży pijarzy, którzy w latach 1955-1977 prowadzili tam nowicjat zakonny. W 1971 kościół i klasztor przeszły w wieczyste użytkowanie zakonu pijarów.

Kościół i klasztor

W 1149 r. „biali ojcowie” wybudowali nieduży kościółek, a w latach 1649-1727 dokonali jego rozbudowy. Sylwetkę kościoła ograniczają od zachodu okazałe wieże, a od wschodu tzw. kaplica z trzema apsydami. Wnętrze świątyni dzieli się na: trójnawowy barokowy korpus, stare gotyckie prezbiterium oraz prezbiterium nowe, tzw. kaplicę. Główny korpus został przebudowany w latach 1692-1727 z korpusu wczesnogotyckiego. Składa się z nawy głównej i dwóch niższych naw bocznych. Nawę główną oddzielają od bocznych arkady filarowe. Gzyms wieńczy drewniana galeryjka, obiegająca tuż pod sklepieniem nawę główną. Główna nawa nakryta jest sklepieniem kolebkowym z lunetami na gurtach; w nawach bocznych sklepienia krzyżowe. Nad półkolistym łukiem tęczy barokowe malowidło przedstawiające ukrzyżowanego Chrystusa na tle Kalwarii. Wyposażenie głównie późnobarokowe i klasycystyczne.

Niewątpliwie wielkim skarbem hebdowskiej świątyni parafialnej jest łaskami słynąca figura Matki Boskiej

z Dzieciątkiem Jezus umieszczona w ołtarzu głównym. Rzeźba ta zaliczana jest przez historyków sztuki do Madonn typu krakowskiego. Figurę wykonał nieznaną rzeźbiarz ok. 1400 roku. W czasach kontreformacji została ubrana na wzór hiszpański w szaty haftowane złotem. Stanowi ona skarb tego kościoła. W jej powstaniu niezaprzeczalnie ogromną rolę odegrali norbertanie. Figura umieszczona jest w niszy nad ołtarzem głównym, zasłanianej barokowym obrazem Przemienienia Pańskiego. Rzeźba ma wysokość 124 cm i przedstawia Maryję w całej postaci. Wota ofiarowane Matce Bożej znajdują się obok w gablotach, większość jest współczesnych, gdyż stare zostały zrabowane przez zaborców, okupantów i w czasie kradzieży 1983 roku. Matkę Boską – Panią Hebdowską, czcili przez wieki norbertanie, którzy w swej duchowości mieli szczególną cześć do o Eucharystii i Matki Najświętszej. Po kasacji Zakonu Norbertanów w 1819 roku klasztor przejęli duchowni diecezjalni wraz z wiernymi z Hebdowa i Starego Brzeska. W 1832 r. zorganizowali duszpasterstwo parafialne nadając kościołowi i klasztorowi drugie wezwanie św. Apostołów Piotra i Pawła.

kl. Krzysztof Tkaczyk CRL

Teraz jest okazja

Przeżywamy czas Bożego Narodzenia. Chciałbym w związku z tym przedstawić historię pewnej rodziny, i niech stanie się to podstawą do zadumy, powodem do refleksji nad naszym życiem

Było ciemnoniebieskie niebo. Na ulicach jednak wyjątkowo jasno, właśnie spadł tak oczekiwany przez wszystkich, no może z wyjątkiem służb drogowych, biały, puszysty śnieg. Białe ulice, drzewa, białe samochody – jednym zdaniem wszystko przysypało. Na chodniku widać było nieliczne ślady butów. Rozpoczęło się świętowanie wigilii Bożego Narodzenia. Dochodziła godzina siedemnasta a dookoła można było zaobserwować niezwykle spokój.

Za kurtyny gęsto padającego śniegu wyłania się dwupiętrowy dom. Czerwona cegła, w oknach kolorowe

lampki, dach biały od śniegu i tylko siwy dym wychodzący z komina tańczy w rytm wesołej pastoralki. Po całym domu ze wszystkich mieszkań rozchodzą się cudne zapachy. Z jednego mieszkania dobiega krzyk małego dziecka. To mieszkanie Justyny i Marcela. Jest to młode małżeństwo, które niedawno przeprowadziło się tutaj i właśnie równo miesiąc temu przeżywali

narodziny dziecka. Dla nich było to więc szczególne Boże Narodzenie. Przyglądając się ich szczęściu trudno znaleźć drugą taką rodzinę w okolicy. Nie ma się co dziwić z takiego ich zachowania. Mały Michałek jest chyba najlepszym prezentem, jaki mogli dostać na święta.

Justyna prawie od roku nie pracuje i zajmuje się teraz maleństwem, Marcel natomiast pracuje ciężko w pobliskiej kopalni, w pocie czoła, aby nicze-



go im nie brakowało. Codziennie żegnając się z rodziną myśli czy to nie jest jego ostatni raz.

Świąteczne zapachy maku i wanilii, a także sosny i jemioly wrzuconej na piec dają wspaniały zapach w całym domu. Już przystrojone drzewko i iskierki hucznie skaczą w kominku. Piękny grudniowy wieczór, wśród białego krajobrazu rozchodzi się dźwięk dzwonu z pobliskiego kościoła wybijający godzinę siedemnastą. Powoli zaczyna się rozlegać wszędzie cichutka melodia „Cicha noc, święta noc...”

Pięknie przystrojony stół, jeszcze piękniej pachnące potrawy, świeca, opłatek i puste miejsce przy stole - chyba wszystko czego potrzeba, aby wigilia mogła się dobrze odbyć.

Justyna z syneczkiem na rękę i Marcel, który właśnie co zapalił świecę i zanucił „Wśród nocnej ciszy...” - czy może być piękniejszy widok, jak szczęśliwa rodzina przy wigilijnym stole? Żaden chór nie przebije kolędy, którą wyśpiewali ci szczęśliwi rodzice, podczas gdy malutki tylko coś pomrukiwał.

Życzyli sobie, łamiąc opłatek, zdrowia, pomyślności i miłości. Tego ostatniego wydaje się, że chyba im nie zabraknie. Dalej była kolacja i prezenty. Mały Michaś chyba nie bardzo rozumiał co się dzieje, ale radości mu nie brakowało. W oczach rodziców zakłęciły się łezki, na pewno łezki szczęścia, bo czy większa radość mogła ich spotkać?

Ich troje tworzyło tak piękną całość, że aż trudno sobie wyobrazić, że

kogoś mogłoby zabraknąć.

Minęły święta i nastał zwykły czas. Wiosna, lato, jesień i znów zima.

Śnieg znów zasypał całe miasto i zaczynają się rozchodzić przyprawiające o zawrót głowy zapachy.

Jest wtorek, jutro będzie wigilia. Marcel niestety musi iść na noc do pracy. Dalej pracuje w kopalni. Jutrzejszy dzień wynagrodzi mu jednak ten trud, spędzi najwspanialszy dzień roku w towarzystwie żony i syneczka. Ucałował Michałka w czoło, uściskał żonę i zabierając ze sobą kilka kanapek ruszył przed siebie.

Nadeszła wigilia. Zanim obudził się Michałek, mama już wcześniej rano rozpałała w piecu i zdążyła ubrać choinkę, bo mając potem przy sobie małego brzdąca raczej nie dałaby rady. Później mały nie spuszczał z oczu mamy, która cały czas krzątała się po kuchni, spokojnie leżał w wózeczku i zajęty malutkim misiem, którego dostał od taty, sprawiała wrażenie całkowicie nieobecnego. Po domu zaczęły rozchodzić się zapachy potraw wigilijnych, za oknem śnieg, a z radia dobiegały pierwsze dźwięki kolęd.

W ich domu nigdy nie brakowało miłości. Mimo to, Justyna od rana myślała jakie złożyć Marcelowi życzenia i za co musi go przeprosić, chociaż w ich życiu znaleźć powód do przeprosin nie było łatwym zadaniem, ale wigilia to najlepszy moment, żeby przeprosić i pokazać komuś jak się go kocha.

Nadszedł czas kolacji, zegar na wieży tradycyjnie wybił godzinę sie-

demnastą. Już w domu wszystko przygotowane do kolacji, tylko nie ma jeszcze taty. Już pierwsza gwiazda na niebie, w oknie mama z syneczkiem na rękę, w którego malutkich oczkach odbijały się kolorowe lampki choinki. Z utęsknieniem czekają na tatę. Mieszając co chwilę potrawy mama ciągle spaceruje między piecem a oknem. Już

nałożyła potrawy na półmiski, bo przecież zaraz musi przyjść, co złego miałoby się stać. Podeszła znowu do okna i razem z Michasiem wtopili oczy w alejkę przed domem, ale nikogo nie dostrzegli. Na niebie czuła gwiazda, coś jakby przeczuwając, nie świeciła tak mocno jak rok temu. Litując się nad nimi, chociaż nie mogła nic powiedzieć, promieniami swoimi jak ramionami objęła mamę z dzieckiem. A ona dalej cierpliwie z syneczkiem na rękę czeka. W piecu już ogień wygasł, Michałek przysnął w objęciach mamy, a ona dalej wyglądając przez okno, przesuwając delikatnie zmarzniętym nieco nosem po malutkim czółku Michałka. Potrawy już dawno wystygły, ale jej nawet na myśl nie przyszło, że mogłaby zasiać do wigilijnej kolacji bez Marcela. Gwiazda nie mogąc już dłużej patrzeć ze smutku schowała się za chmurę

i wypuściła ich już ze swoich objęć. Oni jednak licząc na to, że zaraz poczują objęcia taty, i usłyszą jego ciepły głos intonujący „Wśród nocnej ciszy” nie poddawali się.

Doczekała się. Przeraził się dzwonek do drzwi. Szybko pobiegła otworzyć, ale zamiast męża, przy drzwiach stało dwóch ob-

cych mężczyzn. Zamiast głosu męża, na który tak bardzo czekała usłyszała tylko: pani Justyno, bardzo nam przykro, na kopalni miał miejsce wypadek... Po zimnym policzku Justyny spłynęła łza, wielka łza niosąca w sobie smutek i żal. Spłynęła po twarzy i spadła prosto na malutką główkę Michałka. On na szczęście niewiele rozumiał. W jednej chwili stopił się dla niej śnieg za oknem, kolorowe

lampki na choince wydawało się, że zaczęły świecić tylko jednym szarym kolorem i nigdzie nikt już nie nucił żadnej kolędy. Kolejne łzy spływały jedna po drugiej prosto na małego Michasia. Dla niej urok Bożego Narodzenia, cała magia świąt przysły w jednym momencie.

Nie mogła już męża przeprosić, złożyć mu życzeń, chociaż przeprosiny chyba nie były konieczne, bo zawsze bardzo się kochali.



Następna wigilia Justyny i Michaśia będzie również trudna. Oprócz tradycyjnie pustego miejsca, będzie jeszcze jedno puste miejsce. I już nie zaintonuje im Marcel ślicznej kolędy „Wśród nocnej ciszy...”

A jak to jest u nas w domu. Może też przy stole zobaczymy puste miejsce po kimś bliskim. Może jeszcze w zeszłym roku dzieliliśmy się z nim opłatkiem, a teraz zostały po nim tylko wspomnienia. Czy nie chciałeś go za coś przeprosić? Teraz jest okazja. Ta Święta Noc, kolacja wigilijna niech będzie ku temu okazją. Niech radość, pokój i miłość, która zapanuje tego wieczoru w naszych rodzinach nie będzie przykryta smutkiem. Chrystus, który do nas przychodzi z wielką radością zajmie wśród nas puste miejsce i zapełni je swoją obecnością. Przeżyjmy te święta, nie tylko poprzez kolorowe światełka, dekoracje, prezenty, przez to wszystko, co często przyćmiewa główny sens Bożego Narodzenia, ale także poprzez głębokie przeżycie na nowo i przypomnienie sobie, że Chrystus dla nas poniżył się i został człowiekiem, żeby nam było lepiej. Nie pozwólmy, by w ten czas radości w naszych domach, w naszych sercach panowały smutek i niezgoda.

kl. Łukasz Grzechca CRL

Do siostry zakonnej

Choć nie ma gwiazdy nad twoją głową
z Betlejem-
Niewidocznego w chlebie i cierniach
przyzywasz śpiewem

Choć własnej duszy nawet nie widzisz
Oczyma-
w obrazach tylko Matka Najświętsza
Dzieciątko Trzymaj

Śwój dawny uśmiech dziecięcej twarzy
ukaż nade mną-
choć tak się nagle z Bogiem ukryłaś
w ogromną ciemność

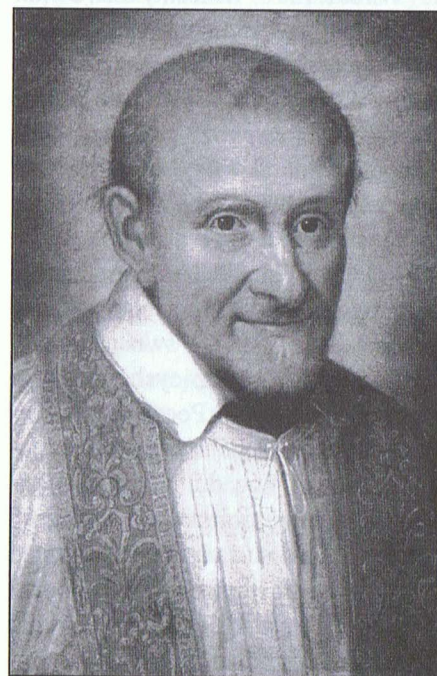
Jan Twardowski

EVANGELIZARE PAUPERIBUS MISIT ME

Głosić Ewangelię ubogim posłał mnie Pan

- Święty Wincenty a Paulo i Jego wielkie dzieło -

Kanonicy Regularni Laterańscy od wielu już lat studiują w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy. W związku z tym również i nam bliska jest postać św. Wincentego a Paulo. Postanowiliśmy dlatego przybliżyć Jego postać oraz dzieło, które zapoczątkował. W tym miejscu pragniemy podziękować klerykowi Marcinowi Rolke ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo, który podjął się napisania poniższego artykułu.



dego wieczoru, kładąc się spać w wygodnym łóżku, myślał o tym, by nigdy więcej nie wrócić tam, skąd przybył, na zawsze wyrwać się z upokarzającej nędzy, by zapomnieć o poniżającej nędzy, którą tam oglądał. W kolegium w Dax było ciepło i przytulnie. Wincentemu a Paulo szkoła ta dawała szansę na lepsze życie. Miał zostać księdzem. Obdarzony bystrością, mógł marzyć o większej karierze, a co za tym idzie: o przywilejach, bogactwach i dostatnim życiu.

Wstydzilem się ojca

Aby posłać syna do szkoły ojciec, kulejący wieśniak, sprzedał parę wołów. To jednak było za mało, by pokonać dumę chłopca i towarzyszący mu wstyd, że pochodził z chłopskiej rodziny. Wincenty wspominał po latach: „Koledzy ze szkoły, gdzie się uczyłem, zawiadomili mnie, że pyta o mnie ojciec, który był wieśniakiem. Odmówiłem wyjścia do niego i rozmowy z nim, przez co popełniłem wielki grzech”. Wspominał też: „Pamiętam, że gdy byłem chłopcem i ojciec zabierał mnie do miasta, wsty-

Zapach mokradeł, pisk pędzonych codziennie rano na pastwiska świń, smak kukurydzy i prosa - powszechnego jedzenia wieśniaków. Widok glinianych lepiarek pełnych sadzy i dymu zimą i latem. To wspomnienie rodzinnej gaskońskiej wioski musiało budzić w Wincentym lęk i przerażenie. Zapewne każ-

dziłem się iść razem z nim i przyznawać się do niego, bo był biednie odziany i trochę tykał”.

Wincenty otrzymał święcenia kapłańskie 23 września 1600 r. Miał wtedy 19 lat. Było to sprzeczne z przepisami prawa kościelnego. Sobór Trydencki nakazywał, by kandydat do święceń miał przynajmniej 24 lata, ale w ówczesnej Francji postanowieniami Soboru nie przejmowano się zbyt gorliwie. Stolice biskupie obsadzone były przez rodziny szlacheckie i traktowane jako rodzinne beneficja. Nie dbano o zakładanie seminariów duchownych. Często kroczyć na księży wyświęcano młodzieńców pozbawionych powołania, dla których kapłaństwo było szansą na karierę lub jedyną drogą wyrwania się z nędzy.

Miedziany tygiel

Wincentego mianowano proboszczem w Tilh, nie objął jednak swojej parafii. Marzył o biskupstwie, szansy upatrywał w dalszych studiach - trafił do Rzymu. Otrzymał stopień nauczyciela teologii w Tuluzie. „Miedziany tygiel” ambicji i przebiegłości - jak powie po latach - wciągnął go na dobre. Wiele podróżował po południowej Francji, porwany przez piratów został niewolnikiem w Tunisie. Najpierw kupił go pewien rybak, ale ponieważ Wincenty cierpiał na morską chorobę, musiał się go pozbyć. Wincenty trafił wówczas do pewnego lekarza, barwnej postaci, zarazem alchemika i poniekąd czarownika. Wincentemu nieźle się u niego wiodło. Jego zajęciem było podtrzymywa-

nie dniem i nocą ognia w piecach, potrzebnych staremu alchemikowi do wazzenia tajemnych mikstur. Potem jeszcze służył u pewnego renegata. Uciekł z niewoli do Awinionu a stamtąd do Rzymu, gdzie wreszcie - jak sądził - uśmiechnęło się do niego szczęście. Poznał tam ambasadora Francji i po kilku latach znajomości wrócił z nim do Paryża. Otrzymał listy uwierzytelniające i został przyjęty przez króla Henryka IV.

W roku 1610, Wincenty miał 29 lat. Został jednym z kapelanów eks-królowej Małgorzaty de Valois i opatem klasztoru św. Leonarda w Chaumes. Wreszcie mógł być pewny, że czas niedostatku i upokorzenia skończył się na zawsze.

Dostatek i nędza

Przephych paryskich salonów musiał robić wrażenie. Bogactwo, maniery i beztroska dworskiego świata budziły podziw u osób pochodzących z niższych warstw społecznych. Poczucie przynależności do lepszego świata mogło napawać Wincentego dumą: on, syn gaskońskiego chłopca, obracał się w kręgach królewskich i dotarł na same szczyty.

A jednak nie był szczęśliwy. Coraz częściej pojawiały się udreka, smutek i poczucie bezcelowości życia.

Z czasem świat, oglądany z okien wygodnego paryskiego mieszkania, zaczął Wincentego irytować. Z każdym miesiącem i rokiem coraz lepiej rozumiał fałsz swego położenia: został kapłanem, aby służyć Bogu, lecz inspiracją do tego nie był głos powołania, ale pragnienie wygodnego życia. Wyszedł z biednego domu, by stać się jednym z troszczących

się o siebie bogaczy. Wrażliwe serce, dręczyło go pytaniami o sens takiego życia. Nie był szczęśliwy. Widział przepych i nędzę, ale nie umiał pogodzić tych dwóch skrajnie różnych od siebie światów ze sobą.

Dzięki wybitnemu duszpasterzowi, kardynałowi Piotrowi de Berulle, Wincenty zostaje proboszczem w Clichy. Tam dosięga go silny kryzys duchowy. Wyniesiona z domu prosta wiara, przestaje być oczywista. Kolejne lata życia Wincentego wypełnione są gorliwą pracą duszpasterską. Dzięki wsparciu kardynała de Berulle odkrywa, że kapłaństwo jest darem Boga i naśladowaniem Chrystusa w pełnieniu woli Ojca. Wśród prostych ludzi odkrywa wewnętrzną radość. „Jestem szczęśliwy - pisze - ponieważ mam wokół siebie lud tak dobry, tak posłuszny względem tego, co im powiem... Nawet Papież nie jest szczęśliwszy ode mnie!”.

Ewangelia dla biednych

Rok 1617. Z nakazu kardynała de Berulle, a Paulo zostaje kapłanem Gondich, jednej z najznakomitszych rodzin francuskich. Mieszka w zamku w Montmirail, ale to nie daje mu jednak satysfakcji. Często wyjeżdża, by służyć biednym. W Gannes zostaje poproszony o wypowiedanie umierającego wieśniaka, który wyznał, że przez lata ukrywał wiele grzechów. Wydarzenie to było decydującym momentem w życiu świętego. To skłoniło Wincentego do wygłoszenia kazania na temat spowiedzi generalnej. Efektem tego były tłumy prosiących ludzi przychodzących prosić o spo-

wiedź. Wincenty rozpoczyna wędrówkę po wiejskich parafiach, by głosić konferencje. Odtąd rozumie, że powołaniem, na którego odkrycie czekał tak długo, jest głoszenie Ewangelii ubogim.

Wincenty doskonale rozumiał, że aby wypełnić zadanie postawione przez Boga, pierwszą potrzebą jest formowanie kapłanów, którzy też mogliby pójść do biednych. Francja była krajem zdechrystianizowanym. Charakteryzowała ją ignorancja religijna i lenistwo duchowe, które dotyczyło również kapłanów: wielu z nich nie przejawiało gorliwości apostołskiej, nie znało Katechizmu i nie potrafiło spowiadać wiernych. Wincenty gromadził wokół siebie współpracowników. Za namową pani Gondi postanowił nadać instytucjonalną formę swoim wysiłkom. W 1725 r. powstało Zgromadzenie Misji. Misjonarze głosili rekolekcje dla kandydatów do święceń i wędrowali od wsi do wsi z konferencjami dla ludu. Pomimo oporów kleru dzieło rozrastało się. Wincenty stawał się postacią znaną i cenioną. Jego dziełem zafascynowany był nawet król, który prosił, by misje odprawiono również na dworze. Wincenty otrzymywał kolejne tytuły i zaszczyty. Został mianowany kapłanem galer, przełożonym klasztoru Wizytek w Paryżu, przeorem Grossesauve, dyrektorem Kolegium Bons Enfants, otrzymał licencjat z prawa kanonicznego. Nie jednak nie było już w stanie odwieść go od misji głoszenia Ewangelii ubogim.

Rewolucja sióstr

Zarządzenie duchowym potrzebom ludu nie było wszystkim dla Wincentego. Widząc nędzę materialną założył Bractwo Miłosierdzia, które miało nieść pomoc potrzebującym. Członkiniami stowarzyszenia były zamożne szlacheckie urodzone panie. Za jego namową damy dworu, księżne, nawet królowa Anna Austriaczka, stanęły u łóżek chorych i umierających biedaków. Z czasem stało się jednak jasne, że zamężne i obciążone obowiązkami towarzyskimi panie nie były w stanie sprostać wszystkim wyzwaniom. Jedną z nich, Ludwikę de Marillac, została bliską współpracowniczką Wincentego, a w 1633 r. pierwszą przełożoną żeńskiego zgromadzenia, które wyszło do ludzi zza murów klasztoru. Szarytki (Filles de la Charité - Córki Miłosierdzia) stały się symbolem miłosiernej posługi wśród cierpiących. Wincenty mówił o nich: „Za klasztor będą miały dom chorych, za celę wynajęty pokój, za kaplicę kościół parafialny, za klauzurę - posłuszeństwo, za kratę - bojaźń Bożą, za welon - świętą skromność, za profesję - stałe zaufanie do Bożej Opatrzności i ofiarę całego swego jestestwa”.

Powstanie Zgromadzenia Sióstr Szarytek było prawdziwą rewolucją w Kościele. Kilkanaście lat wcześniej o podobnym dziele marzył św. Franciszek Salezy, ale mimo jego wysiłków, powołany przez niego zakon Wizytek pozostał w murach klasztoru.

Pokochać odrzuconych

Miejscem, nad którym szarytki

przejęły opiekę, był Hotel-Dieu, najgorszy szpital w mieście. Każdą z 20 sal przygotowano na przyjęcie 50 osób. W rzeczywistości, w każdej z nich przebywało 250 chorych. Ból, agresja, cierpienie mieszały się tam z agonią umierających.

Szarytki zajęły się także porzuconymi noworodkami. W Paryżu co roku znajdowano setki dzieci porzuconych z powodu biedy albo grzesznego poczęcia. Sprzedawano je żebrakom, a ci, by wzbudzić litość u ludzi, łamali im kończyny, a potem porzucali skazując na śmierć głodową. Wincenty posłał także siostry do więzień i do pomocy galernikom. Posługa wśród wulgarnych i odrzucających mężczyzn nie należała do łatwych wyzwań.

W 1643r. umierający król Ludwik XIII prosił o spotkanie z Wincentym. Jednym z ostatnich jego pragnień - niestety już nie spełnionych - było, by wszyscy biskupi przechodzili formację w domu Misjonarzy. A Paulo przyjął ostatnią spowiedź króla. Królowa Anna mianowała Wincentego swoim doradcą ds. opieki społecznej. Na rzecz dzieł miłosierdzia z dworu popłynął wielki strumień pieniędzy. Wincenty wykorzystywał je bez skrupułów, by ulżyć cierpiącym i odrzuconym, zwiększyć liczbę misji i otworzyć kolejne seminaria duchowne.

kl. Marcin Rolke CM

OKIEM NOWICJUSZA

Odmałże sens Bożego Narodzenia.

Pierwszy śnieg za oknem, świątecznie przystrojone witryny sklepowe oraz ulice miasta pełne wyjątkowo aktywnych ludzi, pragnących jak najobficiej wykorzystać czas wszelkiego rodzaju promocji i wyprzedaży. Taki obraz zawsze był dla mnie zwiastunem świąt.

Okres bożonarodzeniowy stawał się okazją do naprawy nadszarpniętych więzi towarzyskich, do przypomnienia sobie o niegdyś bliskich osobach, a także do ofiarowania najbliższemu jakiegoś podarku, co sprawiało radość, gdyż stwarzało pozory, że nie jestem takim ostatnim egoistą i materialistą. Wynika z tego, że z ogólnie uładowanym sumieniem, tworzyłem sobie świąteczny klimat, o którym dopiero dzisiaj ze wstydem umiem powiedzieć, jak



bardzo był powierzchowny. Oczywiście, niedzielna msza święta, bardziej z obowiązku czy przyzwyczajenia, niż z potrzeby, swego czasu nawet roraty, były udziałem mojego Adwentu. Nawet rekolekcje przedświąteczne odprawiałem rokrocznie, a gdy ojciec rekolekcjoni-

sta przypadł mi do gustu, potrafiłem go wysłuchać, a nawet zastanowić się nad sensem wypowiedzianych przez niego słów. Wygląda więc na to, że same święta i moje przygotowanie do nich, zawsze były, rzecz można, kompletne. Było w nich, bowiem, miejsce na: rodzinę, przyjaciół, porządki, zakupy, a także na Boga. I gdyby o nic dalej nie pytać, zostawiając wyżej

opisane sytuacje i zachowania, bez doszukiwania się ich motywów, można by uznać człowieka tak postępującego za porządnego chrześcijanina. Bardzo łatwo dało się jednak sprawdzić, czy moje święta istotnie miały wymiar godny prawdziwego wyznawcy Chrystusa. Czy nie były jedynie obłudnym pajacowaniem wokół stołu

wigilijnego, często w świetle ognia z Betlejem i z wtórem kolęd w tle? Owszem, cała ta oprawa, przygotowania, tworzenie nastroju świątecznego są bardzo ważne. Dzielenie się opłatkiem, pisanie kartek świątecznych, prezenty - wszystko to niewątpliwie

zbliża ludzi do siebie. Wielkim jest jednak nieporozumieniem, gdy zapomina się o przyczynie, o źródle tych wszystkich aktów dobroci, hojności, itp., gdy nie pamięta się, że to Bóg jest sprawcą wszelkiego chcenia i działania. Gdy w Świątach Bożego Narodzenia widzi się jedynie dzień wolny od pracy, czy szkoły, pamięta się wyłącznie o kupnie karpia, ubraniu „drzewka”, gdy na słowo: „święta” myśli się jedynie o generalnych porządkach w domu, czy wyjeździe do rodziny, to - dziś tak uważam - święta nie mają sensu, pozbawione są bowiem swojej natury. Musimy pamiętać, że ten piękny, wypracowany przez wiele polskich pokoleń ceremonial świąteczny ma nam wyłącznie pomagać w zrozumieniu tajemnicy Narodzin Zbawiciela, ale sam w sobie nie jest najważniejszy, nie znaczy nic, jest pusty bez Żywej MIŁOŚCI. Przeżyć prawdziwie Boże Narodzenie, to oczekiwać na nie z Maryją i cieszyć się z nich z Dzieciątkiem Jezus. Jest to czas, w którym w sposób szczególny trzeba spojrzeć na sens swojego życia, przyjrzeć się jemu przez pryzmat wiary. Wiem z własnego doświadczenia jak trudno w dzisiejszym świecie realizować takie założenie. Umiejętność odrzucenia wszystkiego, co nam daje świat, a wybieranie z niego jedynie tego, co wynika z autentycznej chrześcijańskiej miłości, wymaga wiele pokory, wiary i wewnętrznego wyciszenia. Dlatego dziś dziękuję Bogu za te cztery miesiące, w których stwarzał mi wyjątkowe, idealne warunki do uczenia się życia, którego On jest źródłem i sensem. Czas mojego pobytu

w murach klasztornych pokazał mi idealne życie - życia w czuwaniu, przygotowaniu, gotowości, życia w ciągłym Adwencie. Dawniej tak nie było, nawet sam okres „szczególnego oczekiwania” na Boże Narodzenie, nie różnił się znacząco od pozostałej części roku. Różnicą był jedynie fioletowy kolor szat liturgicznych i cztery świece postawione, nie wiadomo, po co, przy ołtarzu. Działo się tak, dlatego, że Bóg w moim życiu był, ale tylko ustawowo, a w rzeczywistości sam sobie byłem bogiem. Weźmy chociażby zeszłoroczne święta, które były okresem, gdy najbardziej uciekałem od prawdy, od wyrzeczeń, od odpowiedzi na Jego wezwanie. Jednocześnie był to również czas mojego wyjazdu na rekolekcje powołaniowe, które wówczas miały być jedynie przygodą, wycieczką do legendarnego miasta Krakowa. Dziś jest to dla mnie kolejnym dowodem na wszechmoc Stwórcy. Jak bardzo On działa, z jak niedoskonałych środków i pobudek potrafi uczynić większe dobro. Nie ulega wątpliwości, kto sprawił, że mogę napisać dziś ten artykuł, że każdego dnia mogę realizować swoje powołanie, że jestem szczęśliwy.

Nie wiem jak to będzie w rzeczywistości, ale mam przeczucie, że Boże Narodzenie 2004 okaże się wyjątkowe. Pozornie samotne, kilkaset kilometrów od domu, spędzone bez rodziny, przyjaciół, lecz czy faktycznie charakteryzować je będą jedynie łzy, uczucie odrzucenia, samotności i wewnętrznej pustki..., czy będę sam?

now. Szymon Szajko

W ramach wykładanej na trzecim roku studiów Dydaktyki, podejmujemy tematy związane z różnymi strukturami lekcji. Jednym z toków tegoż zagadnienia jest tzw. tok lekcji eksponujący, który oddziaływać ma na emocjonalną sferę uczuć i przeżyć. Zachęteni przez Pana prof. dr hab. Mariana Śnieżyńskiego przygotowaliśmy podczas jednego z wykładów krótkie przedstawienie, które posłużyło jako przykład wyżej wymienionego toku, a którego fabułą stał się wydrukowany poniżej list.

Zapalam znicz na moim biurku

Drogi Tadeuszu !

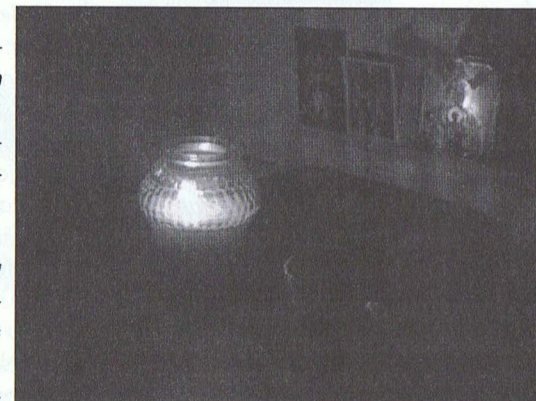
Na początku mojego listu ścisłkam Cię bardzo gorąco. Nasza przyjaźń trwa już blisko 30 lat, a ciągle chowam w sercu historię, o której nigdy Ci nie mówiłem, a która zmieniła moje życie. Myślę, że nadeszła już pora.

52 lata temu opuściłem mury seminarium, pełen zapалу i gorliwości wkroczyłem na nową drogę życia. Marzyłem o kapłaństwie, które mierzyć będę wielkimi dziełami.

Przez cały okres mojej formacji przepełniało mnie uczucie, że jestem kimś wyjątkowym, kogo Chrystus wybrał do swojej służby. Wszystko szło bardzo gładko: dobre oceny, formacja bez zarzutu, zawsze chwalony i podziwiany.

Mówiono mi nieraz, że wysoko zajdę, że osiągnę wiele, że będzie ze mnie wielki człowiek. Karmiono mnie taką opinią przez cały okres nauki w seminarium, który minął tak szybko. Świącenia też były piękne, a prymicje, od lat nie było tak hucznej zabawy w okolicy.

Jako młody kapłan trafiłem jak wiesz do jednej z krakowskich parafii nieopodal Ryńku. Proboszcz był ze mnie zadowolony. Ludzie uwielbiali moje kazania. Tak. Płomienne kazania. Moim ulubionym tematem była miłość bliźniego. Tu czułem się jak ryba w wodzie, w końcu oddałem swoje życie na służbę drugiemu człowiekowi - byłem z siebie dumny. Nie miałem nawet wyrzutów sumienia, gdy grzmiałem z ambony o nienawiści, braku współczucia, znieczulicy i obojętności wobec bliźnich. Dziś wiem, że takimi kazaniem nie zmienię świata. Wszystko co mówiłem i robiłem było tylko bzdurną paplaniną zadufanego egoisty, który przez ciągle pochwały i pochlebstwa wpadł w wir egocentryzmu. Lubiłem wiele mówić, ale nie widziałem tych, do których mówię, bo tak naprawdę nie widziałem nic prócz czubka własnego nosa.



Moje życie zmieniło się pewnej mroźnej niedzieli. Był rok 1952, o godzinie 19 odprawiłem ostatnią Mszę Świętą. Założyłem swój czarny płaszcz, biret na głowę i wyszedłem na spacer. Niedziela dobiegała końca, Kraków pokryty śniegiem migotał tysiącem ulicznych świateł. Planty były moim ulubionym miejscem spacerów. Z różańcem w ręku sunąłem alejkami zadumany i zamysłony. W pewnym momencie zaczepił mnie jakiś mężczyzna. Poznałem, to pan Wacław. Nasz parafianin. Właśnie tej niedzieli odprawiłem Mszę Świętą za jego ciężko chorą żonę. Chciał tylko podziękować za modlitwę i złożyć ofiarę, o której zapomniał wcześniej. Wyciągnąłem rękę. Podał mi białą kopertę z pieniędzmi. Jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie i ruszyłem dalej. Pan Wacław zawsze jest taki elegancki i hojny - pomyślałem, maszerując naprzód i powtarzając kolejne Zdrowaś Maryjo.

W pewnym momencie zobaczyłem żebraka, który z wyciągniętymi w moją stronę rękoma machał do mnie. Podszedłem do niego. Strasznie śmierdział. Wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę i zakryłem nos. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Patrzył na mnie z politowaniem, a głowa kiwała mu się na lewo i prawo. Brzydziłem się go dotknąć. Chwył mnie za sutannę. Wyszarpnąłem się szybko i poszedłem dalej. Ktoś powinien zająć się tymi ludźmi - pomyślałem. Wypije za dużo i nigdy nie wiadomo co takiemu strzeli do głowy.

Wieczorem nie myślałem już o nim. Nazajutrz gdy tylko odmówiłem jutrznię włączyłem radio. W wiadomościach podano informację: dziś rano na Krakowskich Plantach znaleziono ciało zamrożonego mężczyzny. Jest on pierwszą ofiarą tegorocznych mrozów. Mężczyzna miał 64 lata i cierpiał na zanik pamięci.

Włączyłem radio i długo nie mogłem dojść do siebie. Kilka dni później mój proboszcz pochował go na cmentarzu Salwatora. Był naszym parafianinem, wyszedł z domu i przez swoją chorobę nie mógł trafić z powrotem. Nie był elegancki jak pan Wacław i nie podał mi białej koperty, więc i ja nie podałem mu dłoni. Od tego czasu nie spaceruję już po Plantach, co wieczór zapalam znicz na moim biurku i powtarzam swoje Zdrowaś Maryjo. Na jego grobie nigdy nie byłam. Boję się. Nie umiałbym spojrzeć na krzyż, który stoi nad jego mogiłką.

Nie krzyczę już z amboną o braku współczucia i znieczulicy, nie potrafiłbym. Dzisiaj mówię o Miłosierdziu, będzie mi bardzo potrzebne.

kl. Łukasz Bugała CRL

Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć nie możemy?

Chciałbym Wam opowiedzieć pewną historię. Miałem okazję ją przeczytać w książce pod tytułem „Poczwarka” autorstwa Doroty Tera-



kowskiej. Głównymi bohaterami są Adam i Ewa, którzy żyją niczym bohaterowie jakiegoś serialu. Mają po trzydzieści kilka lat i starannie opracowany rodzinny biznes plan. Skończyli elitarne studia. Adam jest właścicielem dużej firmy komputerowej, natomiast Ewa ma bardzo dobrą pracę. Mieszkają w nowym pięknym domu. Wszystko cokolwiek potrzebują mają. Jednak nie są do końca szczęśliwi! Jednak czegoś do pełni szczęścia im brakuje! Otóż brakuje im dziecka! Decydują się na nie! Zanim przychodzi ono na świat rodzice bardzo szczegółowo zaplanowali życie swoje dziecka! Chcieli aby ich dziecko chodziło do elitarniej szkoły. Skończyło studia za granicą. Znało języki. Umiało grać na instrumentach muzycznych. Uprawiało różne sporty.

Przejęło firmę.

Od poczęcia do narodzin ich życie kręciło się wokół dziecka. Wreszcie nadszedł czas rozwiązania.

Był to dzień szczególny w ich życiu, bo miało przyjść na świat ich pierwsze dziecko. Jednak nie przyniósł on uczucia miłości, radości, zadowolenia czy wręcz zaspokojenia ambicji samych rodziców! Wraz z momentem narodzin zostaje zburzony ład ich świata. Dziewczynka, która się rodzi ma skośne oczy, płaski nos i okrągłą twarz. Diagnoza lekarzy brzmiała, że to zespół Downa. W rodzicach wraz z momentem porodu uczucie miłości przeobraża się w uczucie odrzucenia, smutku, a nawet rozpacz.

Postanawiają oddać dziewczynkę do ośrodka wychowawczego. Jednak pewnego dnia jeszcze w szpitalu zjawia się u Ewy niczym dobry anioł Anna. Jest ona matką dziecka, które także ma zespół Downa. Próbuje ona

odwieść nowo upieczoną matkę od zamiaru oddania dziecka. Opowiada jej o swych radościach związanych z wychowywaniem takiego dziecka. Wspomina chwile śmiechu i rozpacz. Jednak częściej gościła u niej radość i śmiech niż smutek i rozpacz.

Ewa po wizycie Anny, postanawia wbrew Adamowi nie oddawać dziewczynki. Adam nie akceptuje decyzji Ewy i postanawia się nie angażować w wychowanie córki. Mało tego, obarcza ją całą winą za chorobę dziecka. Boi się nawet dotknąć córki. Mieszkając pod jednym dachem, przestaje mieć jakikolwiek kontakt z rodziną! Jego rola ogranicza się jedynie do dawania pieniędzy na ich utrzymanie. Taka sytuacja trwa dziewięć lat! Przez ten okres Adam zastanawia się nad tym dlaczego spotkało akurat jego to nieszczęście. Dlaczego właśnie On? Dlaczego Jego dziecko? Za jakie grzechy?

Odpowiedź na to pytanie możemy znaleźć w Piśmie Świętym. A dokładnie w Ewangelii św. Jana (J 9,1-41) w opisie uzdrowienia niewidomego. Jezus zapytany przez uczniów „kto zgrzeszył, że się urodził niewidomy - on czy jego rodzice?” odpowiada „Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, ale stało się tak aby się na nim objawiły sprawy Boże”. Zapewne wielokrotnie na widok chorego i cierpiącego człowieka wyrывało się z naszych serc: „Kto jest winien jego nieszczęściu?”. Jakże często pytanie to staje się gorzką skargą lub pełnym oburzenia i zawodu oskarżeniem Boga. Na podobne, dotyczące niewidomego od urodzenia, Jezus odpowiada: „stało się tak,

aby się na nim objawiły sprawy Boże”. Postawą jaką należy zachować w czasie próby winno być poddanie się jej i przyjęcie, a nie stawianie pytań. Uzdrawienie niewidomego dodaje nam wiary, że sprawy Boże mogą się spełnić również na mnie. Czy jednak mam na tyle odwagi, by otworzyć się na światło, które może przecież ujawnić moją ślepotę? Czy mam tyle pokory, by się do niej przyznać i ufności, by prosić o ratunek?

Zupełnie inną postacią od Adama jest postać biblijnego Hioba. Żyje On w ziemi Us. Jest to mąż również bogaty ale i sprawiedliwy, prawy, bogoboyny i unikający zła. Hiob nie dawał żadnego powodu, by być poddanym próbie, gdyż był doskonały we wszystkim. Jednak zostaje poddany próbie na swoich dobrach. Zostaje pozbawiony całego majątku, a na koniec dotknięty chorobą trądu. Mimo tego doświadczenia Hiob pozostaje wierny Bogu. Wypowiada znamienne słowa „Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć nie możemy?” Owa zadziwiająca uległość, szczyt postawy człowieka wobec Boga jest przedstawiona jako wzór do naśladowania.

Każdego dnia prosimy Pana, by wzrastało w nas zrozumienie przeżytych prób, doświadczeń, problemów, by zmniejszyła się w ten sposób nasza niewiedza w stosunku do Niego i byśmy mogli usłyszeć od Jezusa „Wyście wytrwali przy Mnie w moich przeciwnościach”, byliście wiernie ze mną na drodze prób, niosąc swój krzyż z odwagą i dumą.

kl. Przemysław Soboń CRL

ŚPIYWANIE PO NASZYMU

Często można usłyszeć żartobliwie, że w naszym seminarium jest czterech kleryków z zagranicy. Mianowicie, Andrzej z Białorusi oraz Maciej, Łukasz i Dawid ze Śląska. Ślązacy, pomyśleli, że skoro tworzą w seminarium „mniejszość narodową”, to najwyższy czas, żeby zajęli też jakiś kącik w „Cor Unum”.

W związku z przeżywaniem Świąt Bożego Narodzenia, proponujemy dwie nowe wersje znanych chyba wszystkim, popularnych kolęd: „Dzisiaj w Betlejem” i „Gdy śliczna Panna”. Tym którzy znają trochę gwara śląską proponujemy zaprezentowanie tych kolęd przy wspólnym rodzinnym stole. Znajomość „obcego języka” na pewno zaskoczy wielu i na pewno będzie świetną niespodzianką.

Dzisiaj w Betlyjce

1. Dzisiaj w Betlyjce, tam pod Betlejem, cuda są i dziwy,
Bo prosto z nieba, aby świat zbawić Gość wielki nom przibył.
Ref. *Ponboczek w stajni, idź Go przigarnij, ci, co tak chcieli, tam przibieżeli,
A my zaśpiwomy, piyknie porzykomy i Mu coś fajnego domy!*
2. Panna Maryjka, piastuje w rynkach Ponboczka małego.
I tak se myśli, nych Mu się przisni coś fest pobożnego.
3. Przyszli pastyrze, łotwarli dźwyrze, zagrali na lirze,
Czamu na sianie, drzymiesz nasz Panie, kaj zogowek z piyrzym?

Piykno Paniynka

1. Piykno Paniynka synka piastowała,
Jak fest Mu pszała, tak piyknie śpiewała:
Ref. *Lili, lili laj, mój maly syneczku,
Uśnij drapko już, na tym zogoweczku.*
2. Zawrzij już łoczka, śpij i mnie usłuchnij,
Bo jo mom tela do zrobiynio w kuchni
3. Woł i osiołek, twe graczki pluszowe,
Nych ci się przisnią, jak sny kolorowe
4. Czy coś cie boli, pieluchy mosz złone?
Abo mosz w brzuszku coś nałonaczone?

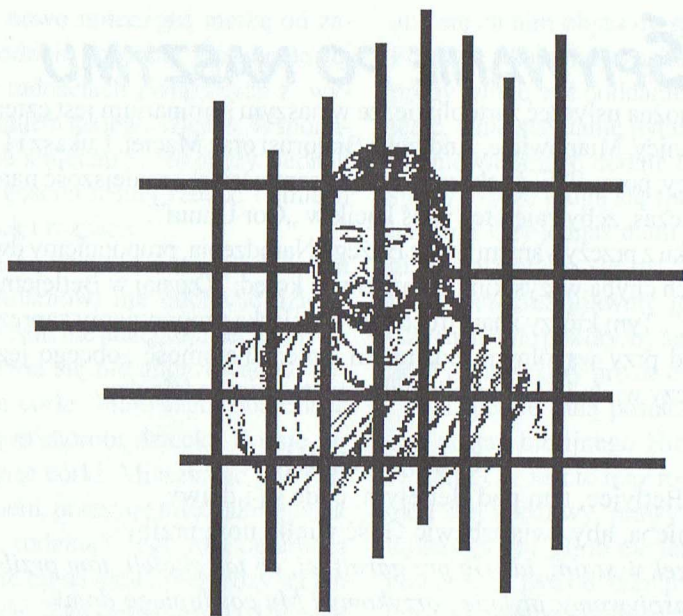


Słowniczek:

Ponboczek- Pan Bóg
fest- bardzo
drzymiesz- śpisz
fest pszała- bardzo kochała

piyknie porzykomy- ładnie się pomodlimy
łotwarli dźwyrze- otworzyli drzwi
zogowek- poduszka

dk. Maciej, kl. Łukasz, kl. Dawid



Byłem w więzieniu, a nie odwiedziliście mnie.....

Każdy przygotowujący się do święceń musi udać się na kilkudniowe rekolekcje. Dlatego też i ja zostałem na takie duchowe nauki wysłany przez mojego przełożonego. Miejscem na odbycie rekolekcji wyznaczony został klasztor Kanoników Regularnych Św. Norberta (Norbertanów) w Sturington w południowej Anglii tuż prawie nad wybrzeżem. Muszę przyznać, że sama okolica jest przepiękna, a i sam klasztor zbudowany w stylu średniowiecznych klasztorów z wspaniałym wirydarzem tworzy niepowtarzalny klimat. Oczywiście wspólnota jest bardzo mała (jest ich tylko czterech), ale bardzo aktywna. Byłem

pod wrażeniem że ta czteroosobowa grupa ma codzienny śpiewany brewiarz (wszystkie części).

Nie o rekolekcjach ani o przepięknej okolicy chciałbym bynajmniej tu pisać. W ostatni dzień mego pobytu tam jeden z ojców zapytał się mnie czy chciałbym z nim pojechać do Zakładu karne-go, gdzie jest kapłanem. Muszę przyznać że wahalem się, nie wiedziałem co odpowiedzieć. Z jednej strony byłem ciekawy jak tam jest za tym murem z kolczastym drutem, a z drugiej strony czułem lęk, bo nie wiedziałem co tam spotkam z jakimi zachowaniami będę miał do czynienia, zwłaszcza że więzienie to jest o zaostrozonym rygorze. Ciekawość jednak wygrała

ze strachem. Wyruszyliśmy tam o godzinie 6.30 rano. Po 7 stanęliśmy pod bramą więzienia. Po sprawdzeniu tożsamości i kilku pytaniach zadanych nam przez strażników udaliśmy się do pomieszczenia, które jest użytkowane przez wszystkich kapłanów chrześcijańskich (kapłani innych religii mają inne pomieszczenie). Na początku ojciec przystąpił do zwyczajnych czynności kapłana, czyli sprawdzenia wiadomości no i oczywiście czy przybyło nowych lokatorów, z którymi musi przeprowadzić krótką rozmowę. Okazało się że jest 12 nowych. Następnie udaliśmy się do pomieszczeń właściwych, a więc do skrzydła głównego. Pierwszy kontakt z więźniami był już na korytarzu, gdzie czekali na jakieś zajęcia. Muszę przyznać że było wesoło bo gdy weszliśmy na korytarz z grupy dryblasów dało się słyszeć pojedyncze głosy typu: że przyszedł father Ted (ojciec Ted – jest to komedia o katolickim irlandzkim księdzu dość zabawna), ojciec na to tylko się uśmiechnął i podążyliśmy ku kaplicy więziennej. Kaplica zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Na ścianie za ołtarzem wymalowana została przepiękna scena przedstawiająca Pana Jezusa wraz z apostołami, którzy będąc w łodzi wyciągają pełne sieci ryb. Czymś wspaniałym było zarazem że za oknem było słycać świergot mew. Można było się poczuć naprawdę jak nad jeziorem.

Gdy przyszliśmy, kilku więźniów już czekało, a inni dochodzili. Po chwili rozmów Msza Św. się rozpoczęła. Oczywiście wszystko było jak na uroczystej Mszy św. w parafii. Więźniowie aktyw-

nie uczestniczyli poprzez czytanie lekcji, procesję darów i oczywiście śpiew. Po zakończonej Mszy czas na kawę i ciasteczka oraz rozmowy. Kilku więźniów podeszło do mnie pytając się jak tam leci, coś o Polsce. Następnie udaliśmy się do skrzydła „F”, gdzie znajdują się więźniowie z wyrokami za pedofilię, gwałty itp. Jak wiadomo tego typu zbrodnie są okrutnie tępione wśród więźniów, dlatego też dla uniknięcia kolejnych tragedii więźniowie ci są izolowani od reszty. Tam mieliśmy krótkie nabożeństwo eucharystyczne.

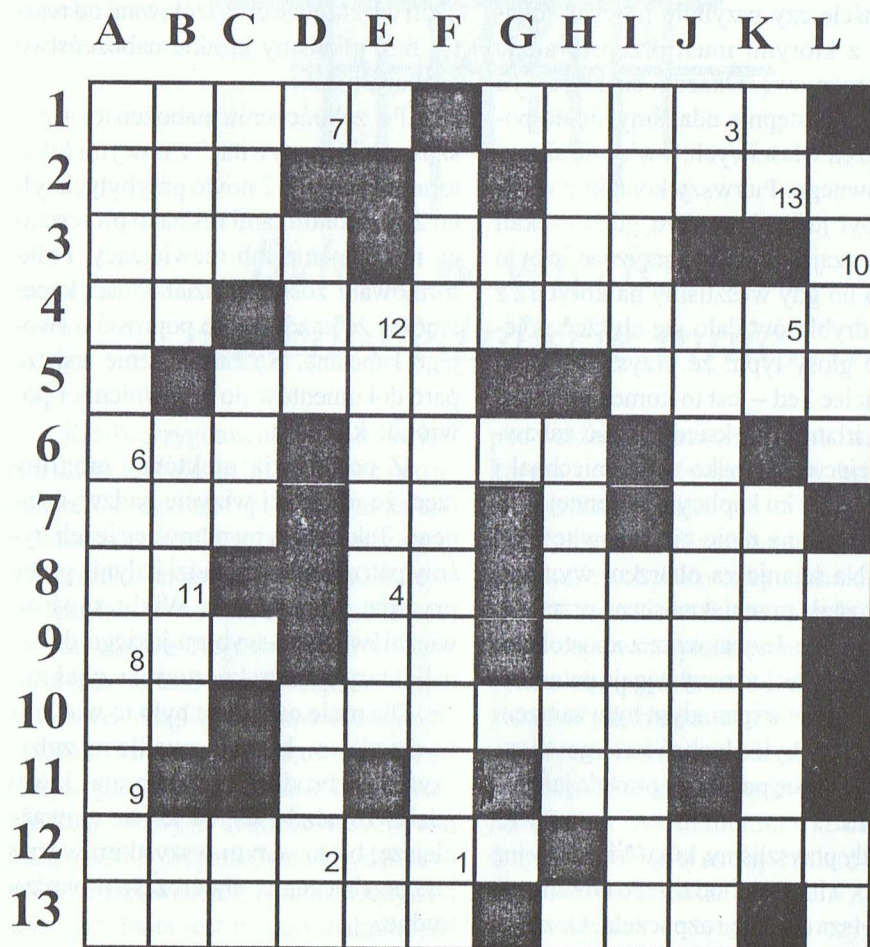
Po zakończeniu nabożeństwa poszliśmy się „przywitać” z nowymi lokatorami. Wśród 12 nowo przybyłych tylko 2 było katolikami reszta to protestanci, muzułmanie lub niewierzący. Poinformowani zostali o działalności kapłanów i że każdy może poprosić o swojego kapłana. Na zakończenie jeszcze parę dokumentów do wypełnienia i powrót do klasztoru.

Z pewnością niektórzy mogliby rzec, że nic w tej wizycie nadzwyczajnego. Tak można by pomyśleć jeżeli byśmy patrzyli na tych ludzi jedynie przez pryzmat ich czynów. Wielu spośród więźniów żałuje wyboru jakiego dokonali, który czasem kosztował czyjeś życie. Dla mnie osobiście było to wielkim wydarzeniem, które pozwoliło mi zobaczyć nie zbrodniarza, ale brata, który gdzieś zbłądził i chyba to jest najważniejsze, bo tu w tym wszystkim ważne jest przebaczenie, choć czasem bardzo trudno.

kl. Marcin Kordel CRL

KRZYŻÓWKA

W numerze 3(12)2004 umieściliśmy krzyżówkę, której z powodu błędu nie dało się rozwiązać. Za tę małą pomyłkę przepraszamy i drukujemy tę krzyżówkę jeszcze raz.



PIONOWO

- 1A- urządzenie do podnoszenia lub obniżania napięcia prądu elektrycznego
- 1B- np. cięta
- 1I- miejsce zawarcia przymierza Boga z narodem wybranym
- 2F- inaczej włączenie, wcielenie
- 2L- „gatunek” misia
- 4E- obcy inaczej
- 4J- miejsce spotkań chłopów
- 5C- jeden z kwasów nukleinowych
- 6B- imię męskie
- 6D- rozmowa
- 7K- synonim mówcy
- 8I- rodzaj sali
- 10D- atrybut sportowca
- 12L- symbol pierwiastka chemicznego o liczbie atomowej 14

POZIOMO

- 1A- okres w mezozoiku
- 1G- jakiegos przedsięwzięcia
- 2A- pierwiastek promieniotwórczy
- 2H- istotna część miasta
- 3A- świętuje 23 lipca
- 3F- gaz szlachetny
- 4A- symbol sodu
- 4D- państwo w Ameryce Środkowej
- 5C- wczesna pora
- 5I- jeden z proroków
- 6A- zapaleniec, kibic
- 6E- choroba z ewangelii
- 7A- imię żeńskie
- 8H- współbrzmienie dźwięków lub więcej interwałów
- 9A- opowieść o bogach
- 9H- miasto na Białorusi
- 10D- pierwszy stopień wyższych święceń
- 12A- natręctwa inaczej
- 12I- restauracja „na kótkach”

Litery z pól ponumerowanych utworzą hasło.

kl. Łukasz Matuszczak CRL

„Uwierzę wtedy, gdy chrześcijanie będą mieli gębę zbawionych”

Przeciętny dzień - „przeciętnego chrześcijanina”?

Około godz. 6.30 - dzwoni dzwonek: „O Jezu!(wita się z Bogiem przeciętny chrześcijanin)Znowu się trzeba zrywać z łóżka. I znowu się myć. O Boże!”(Kończy poranną modlitwę)

Około godziny 8.00 - szkoła lub praca:

„Czego oni wszyscy znowu ode mnie chcą?”

„A ta znowu się na mnie uwzięła!”

„O rany, ale ten czas się wlecze!”

„Co za sens siedzieć tu tyle godzin?”

„Kto to wymyślił? Bez sensu to wszystko!”

„No, nareszcie koniec, dłużej bym chyba nie wysiedział!”

Około godziny 14.00 - powrót do domu:

„Boże! (rozpoczyna modlitwę popołudniową) Znowu te korki!”

„Jak jedziesz fajtłapo?!”

„I co z tego, że byłeś szybszy? Masz za to na pewno kradzione auto! Jesteś policjantem? A co to zmienia?! Co drugi z was bierze łapówki!”

Około godziny 15.00 - obiad:

„Boże!(rozpoczyna się modlitwa przed posiłkiem)Znowu te mielone!”

Około godziny 16.00 - relaks przed telewizorem:

„To znowu te złodzieje z...[wpisz nazwę partii politycznej, której nie lubisz]. Wszyscy, dokładnie wszyscy w tym sejmie

nic nie robią, tylko kradną! Bandyci!”

„Może lepiej przerwę na sport. No nie, znowu przegrali! Ci Polacy są do niczego! Do niczego! Wolę obejrzeć pogodę. Jezus Maria! Jakby nieszczęście było mało- to jeszcze jutro ma padać.”

Około godziny 18.00 - kolacja:

„Rany boskie!(rozpoczyna modlitwę przed posiłkiem nasz chrześcijanin) Kielbasa znowu przypalona! Posłuchaj mnie kobieto! Czy ty umiesz coś ugotować, poza wodą na herbatę?!?!”

Około godziny 19.00 - patrz godzina 16.00.

Około godziny 22.00 - modlitwa wieczorna:

„Dziękuję Ci Panie Boże, za dzisiejszy dzień. Nie przypominam sobie, żebym Cię dziś obraził. Więc chyba jesteś zadowolony. Amen.”

Zdaję sobie sprawę, że mocno przejawiałem pewien problem. Dlatego też dałem znak zapytania w zdaniu- „Przeciętny dzień - przeciętnego chrześcijanina?” Mimo wszystko ktoś czytając niniejszy fragment artykułu mógłby się zdenerwować i powiedzieć: „Ja tak nie postępuję! Ja tak nie marudzę i w ciągu dnia robię wiele pożytecznych rzeczy.” Nie mam zamiaru podważać tego, że „przeciętny chrześcijanin” robi wiele dobrych rzeczy w ciągu doby. Głównym celem tego przydługawego wstępu było ukazanie problemu, jakim jest brak chrześcijańskiego, niesamowicie optymistycznego spojrzenia na życie

codzienne, wśród ludzi wierzących. I to nie tylko wśród świeckich, ale nawet duchownych.

Otóż uważam, że my chrześcijanie jesteśmy bardzo winni, gdy pozwalamy komukolwiek przypuszczać, że nasza religia jest smutna, gdy nie ukazujemy się światu jako szczęśliwi!

Nietsche wypowiedział kiedyś zdanie, którym zatytułowałem swój artykuł: „Uwierzę wtedy, gdy chrześcijanie będą mieli gębę zbawionych.”

Każdy chrześcijanin wezwany jest do głoszenia Dobrej Nowiny. Właśnie taką zostawił nam przecież Jezus Chrystus. Nie można głosić Dobrej Nowiny z wiecznym narzekaniem na ustach oraz wyrazem smutku i przygnębienia na twarzy.

Gdyby akwizytor sprzedawał kasetę z dobrą komedią, a miałby przy zachwalaniu owego filmu smutną minę, z pewnością sprzedałby mniej kaset od kogoś, kogo rzeczywiście byłoby stać na szeroki uśmiech.

Niestety, w dzisiejszych czasach uśmiechniętych „akwizytorów sprzedających Dobrą Nowinę” jest jak na lekarstwo. Smutne jest to, iż tyczy się to również duchowieństwa. Nie wiedzieć czemu, zamiast konstruktywnego głoszenia Ewangelii, stosuje się częściej metodę destrukcyjną - wytykanie wszystkim wszystkiego przed wszystkimi. Jeśli ktoś miałby jakieś wątpliwości, jaki jest stosunek Jezusa do wy-

żej wymienionej metody, odsyłam do lektury Pisma Świętego(Mt 7,1-5).

My chrześcijanie, zobowiązani jesteśmy głosić Dobrą Nowinę. Nie możemy zatrzymywać się na jakichś smutkach, troskach. Smutny bowiem człowiek zacieśnia swój horyzont myślowy do danej myśli, która go dopadła, do słowa, które usłyszał, do wydarzenia, które właśnie przeżywa, jakby na tym kończył się świat. Optymista - którym chrześcijanin winien być zawsze - wybiega naprzód. Widzi nagrodę za cierpienie, widzi zło przemienione w dobro,

czierpie nadzieję z obietnic Bożych. Człowiek wierzący nie ma więc powodów do smutku (chyba, że widzi kogoś pogrążonego w grzechach, który nie liczy na miłosierdzie Boże). Jeśli bowiem nawet niesamowicie cierpi tu na ziemi, to przecież Jezus Chrystus obiecuje mu Królestwo Niebieskie-„(...)cieszcie

się i radujcie, albowiem wielka jest wasza nagroda w niebie.”

Ktoś może zapytać: „Ale jak się radować, kiedy po prostu, czy to z powodu pogody lub zmęczenia, nie ma się najmniejszej na to ochoty?” Odpowiadając na tak postawione pytanie zacytuję księdza Henri Nouwena: „Dzisiaj obudziłem się jakoś przybity, ale nie mogłem znaleźć przyczyny tego stanu. Życie wydawało mi się puste, bezużyteczne, męczące. Poczułem, że opanowują mnie mroczne duchy. Zdałem sobie jednak sprawę, że ten nastrój okła-

